

SPRAWY MŁODYCH

NIE TYLKO

Nr 4

Poznań, 8 grudnia 1982

KRYZCZCIE, PROSZĘ!

Jeżeli macie dzieci panowie rektorzy to krzywcicie, róbcie coś, nie czekajcie. Jeżeli macie dzieci i nie chcecie tak jała patrzeć jak umierają z dnia na dzień. Po co człowiek sobie odejmuje od ust? Co zrobiłam takiego, że teraz muszę patrzeć jak mój syn zasypia, wypalając sobie dziury w skórze papierosami? Albo jak wraca pobity, bo zbyt nachalnie domagał się recepty lub maku? Albo jak traci włosy, zęby, nerki? Jak codziennie dygotał i zasmarkany i zaklina, że już więcej nie będzie? Z synowa i wnuczka czekamy do późna czy wraca i jaki wraca. Pisaliśmy do Sejmu, Rady Państwa, do komitetów różnych. Kto spowoduje wreszcie, aby narkomanów leczyć przymusowo? Czy dlatego, że innych to nie obchodzi nie piśmieć? (2288)

Małka
Nazwisko i adres znane redakcji

PAPIEROWY PROBLEM!

Po dwóch numerach głosowego dodatku „Sprawy nie tylko młodych” odnośnie wrażenie, że jest on traktowany nieco po macoszemu. Przez kogo — nie wiem, gdy?



nie jest mi wiadomo od kogo zależą te sprawy. Myślę o jakości papieru na którym drukowany jest dodatek. Jakość papieru gazetowego ostatnio uległa zauważalnemu pogorszeniu a już ten na którym drukowane są „Sprawy nie tylko młodych” przypomina bardziej papier pakowy niż gazetowy. Kolorem i jakością.

W. Ch. — Poznań
Nazwisko i adres znany redakcji

JAK ZREFORMOWAĆ STARE NAWYKI?

Dyskusja o zasadach płac interesuje szczególnie techników i absolwentów uczelni, którzy podejmując pracę otrzymują stosunkowo niskie wynagrodzenie. I co mnie bardzo dziwi, wszyscy otrzymują takie samo wynagrodzenie, bo liczy się tylko staż pracy a nie rezultaty w pracy. Magiczne słowo taryfikator kończy zazwyczaj każdą dyskusję o celowości powiązania pensji z zawodową aktywnością. Ow „taryfikator” — jak mówią starsi koledzy — polega już na łopatkach dotychczasowe próby uaktywnienia młodej kadry technicznej i odpowiedniego jej zapleczenia za trud. Rozwiązania okazywały się połowiczne i nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Oczywiście, oczekiwanych przez młodych pracowników. Pracuję w dużym zakładzie, gdzie działacze miejscowego klubu techniki i racjonalizacji zachęcają nas do opracowywania projektów racjonalizatorskich. Zastanawiałem się nad tym i nie rozumiem dlaczego to ma być moja prywatna sprawa a nie częścią pracy zawodowej, którą wliczano by do dorobku i na tej podstawie ustalano zaszczerwanie. Doziedłem do wniosku, że nie oplaca się robić projektów, bo nagrody są niskie, wdrażanie długie i niepewne. Wyśitek jest nieproporcjonalny do efektów, więc lepiej skorzystać z innych źródeł zarobku.

Może rzeczywiście po szkołach niewiele jeszcze umiemy, ale przecież nie nie zmusza do zdobywania praktycznych umiejętności. Ciekawe, czy o tym pamiętali twórcy reformy? (2289)

JERZY PIĄTKOWSKI
Poznań

Poglądy i opinie prezentowane w rubryce „Proszę o głos” nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji. Listy prosimy kierować na adres: „Głos Wielkopolski” z dopiskiem na kopercie: „Sprawy nie tylko młodych”.

Dzisiaj kartka CZERWONA

Nie zasieje, nie zaorze, nie zaszkodzi, nie pomoże

„Za niespełna rok kończą czteroletnią szkołę rolniczą. Jeszcze nie widziałam z bliska, jak się mechanicznie doi krowy. Przez rok miałam praktykę w cieletniku; tam ciągle powtarzają się te same czynności. Ciele by ich się szybciej nauczyło niż w rok. A gdzie owce, opasy, trzoda? Jeżeli tak wszędzie wyglądają praktyki zawodowe jak u nas to nie dziwne, że samouk u ojca nauczy się więcej”. W listopadowe przedpołudnie kilkunastu uczniów i uczennic szkół rolniczych z Napachania, Objezierza, Poznania, Szamotuł, Rokietnicy i paru innych miejscowości Poznańskiego, w których istnieją szkoły rolnicze, próbowało poruszyć niebo i ziemię, zanim na tę ziemię trafi do pracy i dowie się, że niewiele umie. Z tego, co mówili wynika, że praktyczna nauka zawodu uczniów szkół rolniczych jawi się jako zwyczajny gnój.

By go nieco przewentylować Zarząd Wojewódzki ZSMP w Poznaniu zorganizował to spotkanie młodzieży z nauczycielami i przedstawicielem Kuratorium Oświaty i Wychowania. Ziarno — by pozostać przy rolniczej terminologii — zostało po raz kolejny zasiane. Ale czy wjeżdżając, skoro padło na głębię ciężką, nieoraną od dawna? Zabrakło bowiem na tym spotkaniu osób, które chcieliby widzieć nie tylko dziennikarzy — kompetentnych przedstawicieli

cieli resortowego wydziału i Urzędu Wojewódzkiego, zjednoczenia lub zrzeszenia PGR-dyrektorów gospodarstw rolniczych, będących też gospodarzami praktyk. Inaczej bowiem całe to rozprawianie przypominać będzie stan obecny praktyk zawodowych na których to się: „Nie zasieje, nie zaorze, nie zaszkodzi, nie pomoże” ZSMP podjęło kolejną próbę walki o chleb. Ale autorytet tej organizacji jest zbyt słaby, by przebić się przez ugor.

Młodzież nie może pozbyć się podejrzeń, że gospodarstwa rolne robią po prostu łaskę, a niektórzy nauczyciele i dyrektorzy szkół dosłownie błagają PGR-y o to, by umożliwiły uczniom i swym przyszłym pracownikom odbycie praktyk zawodowych w swych gospodarstwach. Przecież mówiono — są stosowne ustawy, uchwały, rozporządzenia. Jest prawo, które konkretnie zobowiązuje. Kto

poniósł odpowiedzialność za nierealizowanie tych postanowień, za łamanie prawa? Ale palicho przepisy. Dlaczego zlikwidowano przyszkolne gospodarstwa? Nauczyciele i starsi koledzy mówią, że się sprawdzały. A obecnie?

Godziny praktyk nie pasują do pór udoju i innych prac. Weterynarze nie zgadzają się na dyżury praktykantów w oborach i chlewniach. Daje się im robotę, nie mówiąc co mogą robić a potem rozliczając. „Do zeszytów praktyk wpisujemy fikcję z podręcznika lub z fantazji. O wszystko trzeba się dowiadywać i tylko ten, który bardzo chce, czegoś się dowie”. Albo taki przykład przez godzinę czeka grupa praktykantów na tego, który wyda narzędzia. Potem mieszczą ziemię z torfem. Po co, na co, dlaczego? Nikt nie mówi. Ma wyjaśnić brygadzysta, ale nie można go znaleźć „Nie ma żadnej odzieży. W przymroki chodzimy w pole w trampkach. Do buraków daje się nam kuchenne nożyki”. Mechanizatorzy znają bronowanie, oranie, zasiewy z książki. Mogą sobie poogłądać sprzęt na placu. Jeździć im nie dają nawet, gdy posiadają prawa jazdy. Sytuacja jest jasna tylko wówczas, gdy ciągnik się zepsuje. Czasami młodzież wykonuje prace, za które innym, po prostu

Dokończenie na str. 3

ANDRZEJ SKRZYPCZAK

Halo, telefon zaufania? Poradźcie coś... W domu nie mogę wytrzymać ze starymi. Oni nie rozumieją. Wciąż tylko nakazy i zakazy. Mam już tego dość.

— Właściwie, nie wiem czy dobrze zrobiłam dzwoniąc, ale tak bardzo chciałam z kims porozmawiać. A nie mam do kogo ust otworzyć. Zostałam zupełnie sama. Niepotrzebna nikomu...

Wysłuchajcie, doradźcie, pomóżcie. Jakże to proste — wystarczy tylko wykreślić numer 988. W słuchawce natychmiast rozlega się łagodny głos drugiego człowieka. Pod jego wpływem dokuczliwe uczucie samotności i beznadziejności zaczyna powoli ustępować. Jest wreszcie ktoś bliski, który niczego nie wymaga, do niczego nie zmusza, ale w każdej chwili gotów jest służyć pomocą. Czasem trudno przychodzi podjąć decyzję o wykreśleniu numeru; okoliczności skłaniające do tego muszą być poważne. Również nielatwy jest początek rozmowy. W „przelaniu lodów” i nawijaniu pierwszej, cieniutkiej nici porozumienia bardzo pomaga anonimowość jaką telefon zaufania gwarantuje. Telefonujący nie jest niczym skrepowany, w każdej chwili może zmienić temat a nawet przerwać rozmowę, rzucając słuchawkę. Z reguły jednak tego nie czyni.

Dobrze znana już dzisiaj instytucja zrodziła się w Anglii w roku 1953. Zaczęło się skromnie, od ogłoszenia w „Timesie” — podano w nim

numer telefonu, pod który zgłaszać się mogli potrzebujący wsparcia psychicznego. Powodzenie przeszło najszybciej oczekiwania. W Polsce pierwsza placówka powstała w roku 1967 we Wrocławiu, dwa lata później otwarto taką w Poznaniu. Następne powstawały szybko; obecnie działają w każdym większym mieście. Telefony nie milkną prawie nigdy.

Od początku istnienia po-

Telefon zaufania — nr 988

Halo, mam już dość wszystkiego!

znanska placówka przeprowadziła ponad 140 000 rozmów. Statystyka jest dokładna, każdy bowiem telefon jest odnotowywany — oczywiście — bez jakichkolwiek nazwisk i adresów; chodzi jedynie o dokumentację naukową. W pierwszym okresie zdarzały się jeszcze telefony-zarty. Teraz są one rzadkością. Średnio podczas dyżuru od godziny 15 do 7 rano dzwonek rozlega się około 30 razy. „Najgorzej” jest w dni przedświąteczne. Wtedy ludziami samotność dokucza najbardziej, a problemy z którymi nie mogą sobie dać rady — wydają się nierozwiązywalne.

W rozmowach prowadzonych za pośrednictwem telefonu zaufania odbija się zwykle specyfika ośrodków miejskich oraz aktualne nastroje społeczne. Na przykład we Wrocławiu na

pierwszy plan wysuwa się seks, w Gdańsku dominują problemy ludzi starych, natomiast w Poznaniu rozmówcy najczęściej poruszają szeroko rozumiane sprawy rodziny i wychowania. Przy czym znacznie częściej zgłaszają się dzieci nie mogące znaleźć wspólnego języka z rodzicami, którzy zagonieni wokół własnych spraw nie mają dla nich czasu.

Daje się też zauważyć wzrost

liczby rozmówców, przeżywających stany i frustracje, których podłożem jest niepokój i strach przed znanymi zachodzącymi w naszym kraju niezwykle szybko. W wielu ludziach narasta poczucie zagrożenia i zagubienia. Wsparcia szukają w telefonie zaufania. Zazwyczaj kojarzy się on z dramatycznym; sytuacjami przedstawianymi w filmach telewizyjnych: zdecydowany popełnić samobójstwo — tuż przed lub zaraz po zażyciu większej dawki środków nasennych — telefonuje i zaczyna się rozpaczliwa walka o jego uratowanie. Podobne przypadki zdarzają się również w Poznaniu. Rocznie zgłasza się około 80 niedoszłych samobójców. Na ogół jednak działalność placówki nie jest aż tak filmowa.

Konflikty i problemy, z któ-

„Ogólnie rzecz biorąc nie zapłata za służbę bogaci człowieka, jeno te okazje, które ma się w służbie do robienia pieniędzy”

Samuel Pepys



Zaćpane życie

Pacjenci drugiej kategorii

Małgorzata Jańczak: — Kto to jest narkoman?

Lekarz: — Narkoman jest to człowiek, który przez dłuższy okres bierze leki, i od których się uzależnił.

M. J.: — Jak należy traktować narkomana?

Lekarz: — Tak jak każdego człowieka chorego.

Marek: — Narkoman to jest szmata, można go skopać, pobić, zmasakrować i jeszcze mu rozprawy wytoczyć, bo do kogo on się odwoła?

No do kogo on ma się odwołać? Kto mu pomoże? Pierwszymi słowami jaki mi mnie powitał ordynator w Gnieźnie było: „Skąd tego, tutaj przywieźli”. A ostatnio w Warszawie podszedł do mnie na ulicy i wzięli mnie na komisariat. Tego nigdy nie zapomnę. Gdyby nie jakaś kobieta, która się tam znalazła, to nie wiem czy bym stamtąd wyszedł.

Piotr: — Poszedłem do szkoły policyjnej — to mi zrobił wywiad w szkole i mimo to, że nie wyglądam na człowieka, który bierze, wszyscy nauczyciele jednomyślnie stwierdzili, że taki element jak ja nie może chodzić do szkoły. Zostałem usunięty.

Marek: — A mnie dyrektor dał do zrozumienia, że jeżeli odejdę po tym roku szkolnym to uzyskam promocję do klasy maturalnej, a jeżeli nie — to on mnie zgębnie. Co miałem robić? Odszedłem. Potem szukałem szkoły, chciałem te ma'ure zrobić, ale dyrektor do wszystkich szkół o profilu rolniczym wysłał informacje o mnie. Gdzie chciałem, drzwi były przedemną zamknięte. Ja nie chcę siebie oczyszczać. W pastylkach szukałem zapomnienia. Miałem się pobrać z dziewczyną, tak się stało, że już nie jesteśmy razem. Chciałbym przestać, odzyskać zdrowie. Chciałbym pokazać jej, że potrafię. Ale czy ona mi uwierzy? Czy ona potrafi uwierzyć, że w tej chwili nie biorę i że nie zacznę za miesiąc na nowo?

Piotr: — Leczenie jest zupełnie bezsensowne. Leczyłem się, bo jeszcze miesiąc — to bym się przekreślił. To była ostatnia deska ratunku. Musiałem się zgodzić na szpital.

Marek: — W szpitalu na ogół jest jeden względnie

Dokończenie na str. 2

MALGORZATA JAŃCZAK

rymi jednostka nie może się uporać, wynikają z szarej codzienności. Młodzieży skarżą się na rodziców, rodzice nie mogą dać sobie rady z dziećmi, samotni; szukają otuchy, alkoholu i narkomanij pomocy w leczeniu, małżonkowie zrzucają winę za rozkład związku na drugą stronę, dochodzą spory z teściami, skargi na brak mieszkań, itd. Dla wszystkich rozmówców są to jednak sprawy niezwykle ważne, decyzje ja-

kuje dr Zenon Chmielowski, stara się sprostać tym wymaganiom. Chociaż w wielu przypadkach nie jest to łatwe. Co poradzić młodemu małżeństwu zmuszonymu do mieszkania z teściami, żonie podejrzewającej męża o zdradę lub młodej dziewczynie będącej w ciąży? „Credo kierownika brzmie: „Udzielam tylko realnych rad”. Dlatego wydawać się one mogą prozaiczne i szare, ważne jest jednak, aby skutecznie rozwiązywały konflikt.

Podobnymi zasadami kieruje się reszta personelu telefonu zaufania. Są to lekarze-specjaliści z długoletnią praktyką. Sama bowiem wiedza lekarska — choć niezbędna — nie wystarczy. Trzeba jeszcze mieć spore doświadczenie życiowe. Wiedzieć jak z kim rozmawiać i w jaki sposób mu pomóc. Praca nie ogranicza się tylko do porad telefonicznych. Często jest to dopiero pierwszy etap. Po rozmowie niekiedy ludzie decydują się na wizytę w poradni. Po niej niezadko są następne. Trudno bowiem w wielu przypadkach pomóc od razu, często potrzebny jest dłuższy kontakt z pacjentem. W ten właśnie sposób — poprzez telefon zaufania — rozpoczyna swe leczenie większość młodych narkomanów. Gdyby nie numer 988, być może nigdy nie zdecydowałiby się na ten krok lub byłoby już za późno.

Zdarza się jednak — zazwyczaj w świąteczne dni — że ze słuchawką nie płynie opowieść o kolejnym dramacie. Ale podziękowania za okazaną kiedyś pomoc.

WALERIAN IGNAŃCZAK

Pacjenci drugiej kategorii

Dokończenie ze str. 1.

dwoch narkomanów na oddziale. Od godziny 7 do 22 sale są zamknięte. Do dyspozycji jest jeden korytarz, mała sala z telewizorem, meblami tym od lat, mały holik, bęben krzesel. Głównie są tam psychicznie chorzy i alkoholicy. Dla nich nie ma różnicy między narkomanem, a wariatem. To jest Gnieszno — nasz rejon. Byłem tam kilka dni, jak trochę do siebie doszedłem, to podczas wieczornej zmiany rozwalłem drzwi do pokoju lekarzy, położyłem sobie rzeczy i uciekłem.

M. J.: — Narkoman to jest lepszy chory czy gorszy chory?

Piotr: — Traktuje się nas na pewno gorzej niż innych. Dochodzi jeszcze do tego, że na dobrą sprawę lekarze nie wiedzą, jak nas leczyć. Dają jakiś taki jak popadnie. Czy ktoś dostanie padaczkę polekową, skurczów, czy nawet zapadnie do niech się dzieje co chce. To jest jego wina. Po co się w to wpakował. A jeżeli, któryś zaśnie szaleć czy protestować, to go w pasy, a w pasach to już można robić pod siebie i krzyżować, i nikt na to nie reaguje. Jedynie słowa, które się słyszy z ust personelu to jest, że nie wolno! A potem resocjalizacja. Resocjalizacja też jest w powiatkach. Te pare ośrodków, które próbują coś robić i to jeszcze źle...

M. J.: — Dlaczego źle?

Piotr: — No na przykład „Monar” to jest nie tak, żeby z narkomanem robić takie narzędzie w innych rekach. To nie tak powinno być.

M. J.: — Więc jak?

Marek: — Przede wszystkim powinny powstawać nowe placówki mające na celu leczenie, odwyk i resocjalizację. To muszą być ośrodki specjalistyczne. Należy również zmienić leki. W każdym ośrodku, w którym byłem (a byłem już w kilku) podstawowym lekiem jest „fenaktil”, który chyba należy do najgorszych, nie tylko dla nas, ale i dla innych chorych. Człowiek po nim staje się bezwolny, apatyczny. Lek ten niszczy chęć życia, zabiera wszystkie siły. Kiedyś byłem w takim katolickim ośrodku, gdzie większość prac wykonywali sami narkomani, dlatego sądziłem, że aby nam pomóc wystarczyłoby trochę dobrej organizacji i trochę dobrej woli.

M. J.: — Tutaj przychodzicie dobrowolnie, kontaktujecie się sami z lekarzem. Na czym polega to leczenie?

Marek: — Głównie rozmowy, a poza tym środki uspokajające i odtruwające. Doktor pomaga nam zmniejszać dawki. Stara się rozwiązać nasze prywatne sprawy, które wpędziły nas w nawyk.

Piotr: — Samemu raczej trudno by mi było się zmobilizować. Z panem doktorem skontaktowała się moja matka. Doktor dokładnie powie-

dział jej, co ma robić i w jaki sposób może mi pomóc.

Lekarz: — Każdy, kto użyłszy słowo: narkoman, od razu kojarzy je ze złodziejem, bandytą. A to jest przecież tylko chory człowiek. Trzeba ludzi uświadomić, w jaki sposób należy tym chorym pomóc. Pomóc nie tylko im, ale również ich rodzinom. Gdyby ktoś wysłuchał tych matek, które szukają pomocy, które jeżdżą po całej Polsce do Wejherowa, Częstochowy, Garwolina, czy Lubliawy, szukają pomocy dla swoich dzieci, to by wtedy zrozumiał, jak wielki jest to problem. Nie mamy gdzie tych ludzi kierować. Musimy sobie uświadomić, że sprawa narkomanii jest sprawą społeczną, to nie jest tylko problem służby zdrowia. Służba zdrowia nie jest w stanie sama zapobiec temu zjawisku. W tym musi włączyć się całe społeczeństwo. Większość młodych narkomanów to ludzie młodzi, 18 — 20 lat. Oni chcą pracować w jakimś ośrodku, gdzie byliby traktowani przyzwoicie, gdzie mogliby na siebie zarobić. Równocześnie chcą się leczyć i być traktowani w społeczeństwie normalnie, a nie jak najgorszy margines.

MALGORZATA JAŃCZAK

Autorka jest dziennikarka w poznańskiej Rozgłośni Polskiego Radia.

Strach mocniej tupnąć

Czy coś się ruszyło w Radoszewicach?

Z Zdzisławem Dębowskim, sekretarzem ZW ZMW w Koninie jedziemy do Radoszewic. W drodze streszcza mi on list, który napisał młody mieszkaniec tej wsi w gminie Babiak. Fakty w liście zawarte potwierdziło 48 podpisów. Okazuje się, że młodzież tej wsi od maja nie ma gdzie się zebrać. Sala, w której organizowali zabawy i spotkania została zamknięta przez nowego użytkownika obiektu. „Był tam już od nas Henryk Szukalski — mówi sekretarz ZW — i postanowiliśmy zorganizować spotkanie z sołtysem i naczelnikiem gminy. Może razem coś wymyślimy”.

Mimo przenikliwego wieczornego zimna przed budynkiem zwanym „pałacem” — chyba dlatego, że mieszkał tam kiedyś dziedzic — oczekiwaliśmy na nas trzydziestoosobowa grupa młodzieży. Sołtys zjawił się chwilę później.

Kiedy wszyscy dyskutowaliśmy na dworze, postanowiliśmy spytać Leona Trzmielewskiego, nowego lokatora, dlaczego nie chce młodzieży wpuszczać do pokoju, z którego zwyczajowo korzysta? Rodzina Trzmielewskiego liczy pięć dorosłych osób. Jeszcze niedawno mieszkali w starym, glinianym domu, który się po prostu rozpadł. Ponieważ w Radoszewicach stał pusty budynek, tam ich wprowadzono. „Wojsko, I sekretarz KG PZPR, kierownik PGR z Miechowa — wszyscy mówili, że Trzmie-

lewskiemu się należy” — opowiada żona gospodarza. „Niech pani weźmie miotłę, jak ktoś obcy przyjdzie” — powtarza słowa jakiegoś urzędnika. Gospodarz dodaje, że poprzedni mieszkaniec skarżył się na niewłaściwe zachowanie młodzieży. Hałasowali, kopali w ścianę. Trzmielewscy nie mają najlepszego zdania o miejscowych młodych. „Raz pozwoliliśmy im zebrać, zrobić to szyby w oborze potłukli” — dodają.

Przyglądam się mieszkaniu. Luksus to nie jest. W budynku, pamiętającym jeszcze czasy popękane ściany i sufit trzymający się na słowo honoru. Mówi mi, że dom miał być kiedyś remontowany, ale zrezygnowano z tego planując, po dokładniejszych oględzinach i policzeniu kosztów, rozbiórce.

Trzmielewscy nie są jeszcze formalnie właścicielami budynku, w którym mieszkają. Papiery są u reagenta i w najbliższym czasie formalności zostaną załatwione. Otrzymał 3 hektarów ziemi, za które zapłacił 200 000 zł. W będącym przedmiotem sporu pustym pokoju zamierzają złożyć zboże. Obawiają się, że gdyby zgodzili się na organizowanie spotkań, to młodzież idąc na nie zdepcedzie im kawał pola, gdyż podczas wiosennego podziału gruntów nie wydzielono drogi do „pałacu”.

Pytam gospodarzy czy dzisiaj jeszcze raz wpuszczą młodzież do siebie. O to samo za-

biega sołtys. Zdzisław Banaś, który przy okazji spotkania przywiózł Trzmielewskiemu kartki na buty. Gospodyni się zgadza. Pokój, w którym zbierała się młodzież, niewiele się różni od pozostałych pomieszczeń. Szczerze mówiąc, nie bardzo wyobrażam sobie dyskotekę wśród syjących się ścian. Strach mocniej tupnąć.

Pytam więc, czy w Radoszewicach lub w pobliskim Polaniszku nie ma odpowiedniejszego pomieszczenia? W sąsiedniej wsi jest kilkunastometrowej powierzchni pokój, opłacany przez Urząd Gminny, ale oni nie chcą się rzucić w nie swojej wsi. Sołtys proponuje budowę klubu w Radoszewicach.

W dyskusji okazuje się, że jest we wsi pomieszczenie, które właściciele skłonili się wynająć. Trzeba tylko wykonać tych spraw trochę pochodzi. Najlepiej, jeżeli w takiej sprawie w imieniu młodzieży występuje organizacja. Tego wieczoru powstało w Radoszewicach koło ZMW. Wstąpiło do niego 30 osób. Przedwodniczącym w tajnym głosowaniu, spośród trzech kandydatów, wybrano Ireneusza Wiśniewskiego, a wiceprzewodniczącym autora listu, Leszka Czajora. Coś się zaczęło dziać w Radoszewicach. Przynajmniej tyle, że młodzi wiedzą iż nikt za nich nie robi.

LESZEK CZAJOR

OGŁADY I OBSERWACJE

„Co panią niepokoi? Wielka izolacja, zupełny brak zainteresowania życiem szkoły. Ja przypuszczam, że jest to poza. Młodzież jest jednak bardzo społeczna, ma postawę ukierunkowaną na drugiego człowieka. Myślę, że po prostu udzielił im się nastrój środowiska dorosłych”.

Teresa Stryjek
dyrektorka liceum
„Piłpinka” nr 14

„Młode pokolenie chce przyjmować socjalizm jako rzeczywistość, która może być współtworzona przez ludzi, przez nie samo, a nie jako rodzaj objawienia ponadludzkiej konieczności dziejowej. Żeby ideały socjalizmu mogły być akceptowane i stać się w przyszłości wartością dla tej generacji — muszą być idealnymi, które ona sama realizuje”.

Doc. dr hab. Bronisław Gołębiewski
„Życie Warszawy” nr 271

„Młodość nie jest tak szczęśliwa, jak się zwykle myślica, a starość bywa nie tak nieszczęśliwa, bo ma swoje rekompensaty. Jeżeli zaś młodość nie jest szczęśliwa, to najczęściej z przyczyn podobnych do tych, dla których starość nie jest szczęśliwa. Bo jedna jeszcze tego nie ma, czego druga już nie ma”.

Ryszard Swierkowski
„Perspektywy” nr 41

„Z jednej strony młodzi dostają coraz więcej praw, z drugiej — obserwując życie codzienne — widzą coraz mniejszą przebiegłość i waleczność, zamknięcie się w kręgu spraw własnych i niedostrzeganie miejsca dla siebie, w rozwiązywaniu problemów dnia codziennego, o znaczeniu ogólnospołecznym. Czym to tłumaczyć?”

Ryszard Głóś
„Gazeta Młodych” nr 53

Nie po oczach

Oświadczenie o reformie

Parę miesięcy temu zaczęto przebąkiwać, że obecny system pomocy materialnej dla studentów jest nieprzydatny i przestarzały. Trzeba go było zreformować. Prawdziwy jednak przedsmak reformy miałem później, gdy z ogłoszenia na uczelni się dowiedziałem, że aby dostać stypendialne pieniądze winniem przedstawić zaświadczenie o tym, że tatuś z mamusią zarabiają, a co za tym idzie — jaki jest dochód na jednego członka w rodzinie. Nic więcej.

Myślę sobie — dobra. Raz dwa do domu — po zaświadczenie i pozostanie mi tylko oczekiwanie na upragnioną wypłatę. Tatuś przyniósł mi z pracy odpowiednie zaświadczenie. Policzyłem to wszystko dokładnie, podzieliłem przez liczbę łebków w chacie i na drugi dzień mogłem już zastukać do pani z działu socjalnego.

Tu jednak zostałem poinstruowany, że powinienem uprzednio odebrać podanie o przyznanie pomocy materialnej, oświadczenie nr 1, zaświadczenie nr 2 (jeśli moi rodzice posiadają gospodarstwo), no i oczywiście wspomniane zaświadczenie o ich zarobkach.

„Czy to wszystko?” — pytam. — „Wszystko”. „Olałem” zająca, pojechałem do domu, zadzwoniłem do mamy w zakładzie — klarując, co i w jakiej ilości jest jeszcze potrzebne. Zebrałem to wszystko do kupy i piątego dnia rano dotarłem wreszcie po raz któryś do — teraz bardzo już dobrej znajomej — pani z działu socjalnego. Przedstawiłem: zaświadczenie o zarobkach rodziców wraz z wyszczególnieniem wielkości rekompensat, dołączyłem do tego podanie o przyznanie pomocy materialnej plus oświadczenie nr 1, bez zaświadczenia nr 2, plus

zaświadczenie, że siostra się uczy, plus zaświadczenie od lekarza, że byłem niezdolny do zajęć na uczelni przez miniony tydzień i choć należę do ludzi cierpliwych straciłem równowagę ducha i skłamałem dobrą znajomą w dziale socjalnym. Oświadczyła ona, że termin nadsyłania rozwiązań (tj. — zaświadczeń) upłynął dwa dni wcześniej, więc nie dostanę ani grosza.

Ja natomiast poszedłem do działu socjalnego i do kartki na drzwiach informującej, iż należy przedstawić „zaświadczenie o zarobkach stałych na jednego członka rodziny” dopisałem: „Studentcie! Nie daj się ponieść fantazji i nie wierz w ten żarcik kochanej administracji. Weź najpierw zwolnienie lekarskie (najlepiej za dwa tygodnie), w skrajnych przypadkach — dalekie miejsce zamieszkania — nawet urlop dziekański. Następnie weź: zaświadczenie nr 1, oświadczenie nr 2, zaświadczenie, że rodzeństwo się uczy, oświadczenie o zarobkach rodziców plus zaświadczenie ile w tym jest rekompensat, ewentualnie — zaświadczenie-rebus dla pani z administracji pt. „Zgadnij, które zaświadczenie jest lewe? Ale! Drogi studentcie nawet jeśli mnie postuchasz i położysz na stole stos w/w dokumentów bądź przygotowany na to, że pani z socjalnego popatrzy na ciebie niewidzącymi oczkami i rzeknie: „A gdzie zdjęcia ojca: pierwsze ze studniówki, drugie w mundurze — chyba że służył przed wojną — to wtedy nie, a gdzie zaświadczenie o ilości wypijanego w rodzinie alkoholu (by było wiadomo, ile się przepija z kwoty nie ujętej nigdzie), a pokaz zaświadczenie o obwodzie bioder siostry (w myśl zasady moja tusza świadczy o mojej kieszeni)”.

A gdy spytasz dlaczego administracja ci tego wszystkiego od razu nie powiedziała... pani uśmiechnie się do ciebie i powie: wszak to początek reformy, a przecież „Omne initium difficile est”, co tłumaczy się na nasze, że każdy początek jest trudny.

MARIUSZ KOŁONKO

Autor jest członkiem Klubu Dziennikarzy Studenckich.

Ona ma 28 lata, on — 28
ono — 2.

ONA

„Dużo innych rzeczy byłoby do opisanego, ale czy to coś pomoże, aby zrozpaczona matka odzyskała swoje dziecko, bo ja jestem przekonana, że mam na tyle siły, aby dziecku zapewnić spokój, dom i aby córka wiedziała, że ma matkę, a nie wroga — jak mówił mąż...” — w ten sposób Krystyna zakończyła swoje pismo do Sądu Rejonowego w Poznaniu o wydanie dziecka. Zaczynamy — drugie pismo. Pierwszy raz bowiem zwróciła się do sądu w tej sprawie prawie rok temu.

Do rodziców wypędzili ją teściowie, z którymi mieszkała. Teściowa nie pozwalała jej robić ani przy przygotowywaniu posiłków, ani przy dziecku, które zabierała do swojego pokoju. Mąż był ją z byle powodu, teściowie dokuczali, z placem ohodziła do pracy. W końcu rodzice Krystyny zabrali ją do siebie, ale teściowie i mąż nie pozwalali zabierać dziecka. Dlatego po raz pierwszy zwróciła

się do sądu w lutym ubiegłego roku. Jednak po rozmowie kuratora z obojgiem małżonków, Krystyna wróciła do męża. Chciała zacząć życie na nowo, ale potoczyło się ono starym rytmem — teściowie dokuczali i wymyślali jej buntowali męża. A przecież wszystko było dobrze do czasu urodzenia się córki.

Zaczęło się chyba od imienia, które wybrała teściowa. Krystyna chciała Małgorzatę, teściowa — Ligię. No i została Ligia. Tylko dlatego, że teściowa zagroziła, iż w przeciwnym wypadku nie będzie pomagała wychowywać dziecka.

Gdy dziecko skończyło rok, mąż i teściowa nalegali, aby wzięła urlop bezpłatny, co też chcąc nie chcąc uczyniła. Opiekowała się dzieckiem, prała, robiła zakupy, chodziła z córką na spacer, ale wciąż było niedobrze. Nawet na spacerach miała wyznaczony teren w pobliskim sadzie. Dalej nie mogła z dzieckiem pójść, gdyż były od razu awantury i obawy, że ucieknie z córką do swoich rodziców.

Po trzech miesiącach jednak

teść oświadczył, że jest nie-dobrą matką i dlatego pójdzie do pracy. Albo do pracy albo do rodziców. Wybrała pracę, bo chciała utrzymać dom. A wkrótce potem mąż wymusił na niej podpisanie zgody na wzięcie przez niego urlopu wychowawczego na dziecko. W ten sposób Paweł pozostał z córką w domu, a do swoich obowiązków ojcowskich zaliczał tylko wyjeżdżanie z matką na spacer. Resztę czasu poświęcał na pomoc rodzicom przy zyciu i urzędowaniu mieszkaniowym. Gdy Krystyna wracała po pracy do domu (a pracowała na dwie zmiany — do godziny 15 lub 18) zajmowała się dzieckiem, prała jego bieliznę, ale mąż ciągle uważał, że to za mało, że miała pomagać teściom prowadzącym warsztat krawiecki.

Kiedyś, gdy Paweł wrócił podpiety z pracy, zbił ją bez powodu kłapką parkietową. Nawet wtedy nie mogła wyjść z domu, bo drzwi od mieszkania były zamknięte, a ona nie miała żadnych kluczy — ani od drzwi wejściowych, ani od ich pokoi. Gdy Krystyna wracała z pracy, to najczęściej przesiadywała na korytarzu,

Dom rodzinny na niby

On, ona, ono...

gdzie jest jej szafa z osobistymi rzeczami. A kiedy Paweł oglądał program telewizyjny w pokoju rodziców to ona siedziała w otwartych drzwiach tego pokoju tak długo, dopóki mąż nie zechciał otworzyć jej drzwi, aby mogła położyć się spać.

Była przeciwna usypianiu dziecka przez noszenie na rękach, ale gdy tylko próbowała usnąć je wieczorem normalnie, mąż zabierał córkę siłą i albo sam usypiał, albo zanosił do pokoju matki. Nie pozwalał jej też wchodzić do łazienki, gdy teściowa kąpała dziecko. I od samego urodzenia Ligii mówił: „Ty nie masz do niej żadnego prawa”. Dlaczego? Nie wie. Mała sypiała prawie zawsze w pokoju teściowej, do którego wtedy nie wolno było Krystynie wchodzić.

Za dzierżawę i obiady płaciła teściom 1000 złotych miesięcznie, mąż — drugie tysiąc. Resztę pensji każde zatrzymywało dla siebie.

Nigdzie nie mogła wychodzić bez zgody męża. Nie pozwalał jej na to. Nie pojechała nawet na ślub brata i siostry, chociaż było to za ledwie 50 kilometrów od Poznania. Mąż nie lubił jej rodziny, mówił: „Co to są za ludzie — ze wsi!” Nie pojechał nawet na pogrzeb jej babci.

A tego krytycznego dnia w grudniu wybuchła awantura o jątko, którego wieczorem Krystyna nie chciała dać dziecku, uważając, że nie należy go na noc przekarmiać. Mąż zbił ją wtedy w łazience. Nie mogła uciec od razu, bo drzwi były jak zwykle zamknięte. Odeszła więc na-

stępniego dnia, a teraz chce tylko zabrać swoje dziecko. Może mieszkać z nim u swej matki, u której ma do dyspozycji jeden pokój. Gdyby Paweł chciał, to może do niej się przeprowadzić, ale ona do teściów nie wróci.

ON

Uważa, że zarówno wniosek wniesiony przez Krystynę do sądu, jak i jej postępowanie są niepoważne. Już przecież raz odeszła od niego, pozostawiając dziecko, a po rozmowie z kuratorem jednak wróciła, wycofując pismo o wydanie dziecka. Zna odeszła od niego, zarówno pierwszy jak i drugi raz tylko dlatego, że jest buntowniczą przez swoją matkę. Teści-

Złom, makulatura i trochę ideologii

Korespondencja z NRD

Najnowszy miesięcznik „Einheit”, wydawany w NRD przez KC Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, prawie w całości poświęcony jest problemom młodzieży w społeczeństwie.

W drukowanym w miesięczniku artykule Wolfganga Hergera stwierdza się, że młodzież NRD żyje w dobrych warunkach, stworzonych przez stabilne socjalistyczne społeczeństwo. Bezpieczeństwo socjalne, troska o młodą generację i jej harmonijny rozwój, szczęście i zabezpieczenie perspektyw są podstawą polityki partii i państwa. Młodzież NRD nie zna niedostatków materialnych i troski o przyszłość, zbrodni imperializmu, które tak głęboko naznaczyły życie starszych ludzi.

Nasza młodzież — podkreśla autor — jest świadkiem i współuczestnikiem największych zmian w naszej historii. Przewodzona przez NSPJ i zjednoczona w swojej zdecydowanej większości w Związku Wolnej Młodzieży Niemieckiej — FDJ, kształtuje i rozwija ona socjalistyczne społeczeństwo, przyczyniając się do stworzenia podstaw dla przejęcia NRD do komunizmu.

Wśród przykładów świadczących o zaangażowaniu młodzieży Niemieckiej Republiki Demokratycznej w walce o pokój i socjalizm, autor podał

m. in., że w minionym 10-leciu liczba członków Wolnej Młodzieży Niemieckiej — FDJ, wzrosła z 1,3 do 2,3 mln.

W artykule podkreśla się, że korzyści, jakie osiągnięto w akcji FDJ „Ekonomia materiałowa” — ogromnie wzrosły. I tak, gdy w 1971 roku wynosiły one 608 mln marek, to w 1981 roku 1 670 mln marek. Natomiast młodzież wiejska FDJ w tym samym czasie osiągnęła efekty w wysokości 38,5 mln marek. O intensyfikacji działań członków FDJ świadczy m. in. zbiórka złomu która w 1971 roku wyniosła 56 425 ton, a w 1981 roku osiągnęła poziom 242 789 ton. Równocześnie zgromadzono 78 000 ton makulatury oraz wygospodarowano 11 309 mieszkań, które zostały odnowione, przebudowane lub rozbudowane. W 1981 roku dzięki akcjom FDJ zaoszczędzono 2 870 miejsc pracy i 82 mln roboczogodzin.

O wzrastającej odpowiedzialności młodzieży NRD za powiększenie i unowocześnienie potencjału ekonomicznego kraju świadczy m. in. liczba 88 829 obiektów, nad którymi w 1981 roku FDJ sprawowała patronat. Podobnie w NRD rozwija się udział młodzieży w ruchu wynalazczym. (PAP)

JERZY TOMASZAWSKI

Kto im pomoże walczyć skuteczniej?

Przyroda nie obroni się sama

Od 1978 studenci zrzeszeni w Akademickim Klubie Straży Ochrony Przyrody przy Oddziale Międzyuczelnianym PTTK w Poznaniu działalność swoją operującą na cotygodniowych wyjazdach, rajdach i penetracji środowiska. Rzadko można ich zastać w klubie; częściej — spotkać na szlaku, w rezerwach i parkach narodowych. Działalności tej nie ograniczają tylko do terenu województwa poznańskiego. Wyjeżdżają na akcje o zasięgu ogólnopolskim — w Tatry, Gorce, Pieniny, do Białowiesi. Penetrują tam tereny ścisłych rezerwatów, pouczając turystów na szlakach, pomagając dyrekcji parków narodowych utrzymać czystość i porządek. Pełnią też stałe patroli interwencyjne w najbliższej okolicy — Wielkopolskim Parku Narodowym. Pod opieką mają rezerwaty w Puszczy Zielonka, gdzie zbierają... często pozostawione przez turystów śmieci. Można ich spotkać też w Poznaniu, głównie na bazarach i targowiskach; w dniach przedświątecznych sprawdzają pochodzenie i rodzaj sprzedawanych drzewek. Ma to wówczas smak detektywistyczny, kiedy tropią sprzedawców nielegalnego handlu świerkami, sosną lub daglezją. W takich przypadkach zwykle ograniczają się do upomnień i konfiskaty oferowanego towaru; kiedy jednak to nie pomaga, kierują wnioski o ukaranie do kolegiów.

Wiele spraw już załatwili. Na ich konto trzeba zapisać budowę bezodpływowego szamba w Rolniczym Kombinacie Spółdzielczym w Jankowicach. Uchroniło to okolicę przed całkowitym zatrueniem stawu, usychaniem drzew i ewentualną epidemią. Na wniosek klubu zlikwidowano też śmierdzące bajoro w Witaszycach, otoczono specjalną opieką jeden z piękniejszych w Polsce wiejskich parków w Twardowie, skąd wywieziono zmagazynowany tam gruz i śmieci, oznaczono alejki spacerowe i unikatowe pomniki przyrody.

Zjawiają się zwykle tam, gdzie grozi zaciwianiem równowagi ekologicznej. Dla wielu dyrektorów kombinatów rolniczych, kierowników zakładów i prezosów spółdzielni produkcyjnych położonych w pobliżu terenów leśnych i rzek — są uciążliwymi natrętami. Skrupulatni, nieprzekupni i drobia-

zgowi wtykają swoje przysłowiowe „trzy grosze” w każdy zakątek leśny. I dziwnym trafem, prawie zawsze na trasie swoich „wycieczek” znajdują zanieczyszczone odpadami rzeczki, miejsca nielegalnego wycięcia drzew czy zaśmiecone pola. Niejednokrotnie zbywani lakonicznymi odpowiedziami i odprawiani sprzed dyrektorskich drzwi, piszą oficjalne, urzędowe notatki, zmuszając tym samym odpowiednich ludzi do zainteresowania się zasygnalizowanym problemem, a nawet więcej — do aktywnej ingerencji.

Nie wszyscy traktują ich działania należycie. Przymiotnik społeczny strażnik ochrony przyrody, powoduje niejednokrotnie lekceważenie i ironię. A rezultatem jest wiele, niestety, do dziś nie załatwionych spraw i pozostawionych bez odpowiedzi pism. Przykładem tego stosunku jest postawa ojców Krobli w woj. leszczyńskim, gdzie po dziś dzień mimo sygnałów i interwencji dewastuje się i zaśmieca okoliczny park. W tym przypadku nie pomogło nawet pismo do wojewódzkiego konserwatora zabytków. Sprawa jest ciągle nie załatwiona!

Spotykają się więc z różnym przyjęciem. — Szczególnie przykry jest — powiedział szef klubu Leszek Bajda — brak jakiegokolwiek kontaktu z dyrekcją Wielkopolskiego Parku Narodowego. A mamy dla niej bardzo dużo niepokojących ustaleń. Nie chce się rozwodzić nad sensem funkcjonowania samej restauracji „Górecka” i zdarzających się tam pijackich dewastacji. Wystarczy przecież, te parę faktów — jak kąpieli w jeziorze, pikniki na Wyspie Zamkowej czy masowe wycinanie drzew na terenie ścisłego rezerwatu.

Jednym z ostatnich przedsięwzięć studenckich strażników przyrody jest interwencja do ministra leśnictwa i przemysłu drzewnego w sprawie wycięcia i dewastacji Puszczy Bukowej (koło Szczecina), terenu gdzie zaprojektowano rezerwat przyrody. Włożyli w tę sprawę dużo energii i emocjonalnego zaangażowania, które, być może, już niedługo zaowocują ostateczną i nieodwołalną decyzją ochrony tego terenu.

GRAŻYNA PIETRZAK

Autorka jest członkiem klubu Dziennikarzy Stm dębskich.

ciowa od samego początku jest wybitnie wrogo nastawiona do Pawła. Dlatego on nie chce przeprowadzić się do teściów, do czego dąży Krystyna. Jej rodzice zajmują mieszkanie typu M-4 razem z trójką rodzeństwa Krystyny. Natomiast w mieszkaniu typu M-5 rodziców Pawła. Paweł i Krystyna mają do swej dyspozycji 2 pokoje, a więc warunki mieszkaniowe mają nieporównywalnie lepsze niż mieli by je u rodziców żony. A poza tym Paweł uważa, że po to zawierał związek małżeński i zdecydował się na dziecko, aby wszyscy żyli razem. A Krystyna nawet do dziecka podchodzi — jak na matkę — dość srogo. Od czasu opuszczenia mieszkania odwiedziła córkę zaledwie dwa razy, choć nikt jej w tym nie przeszkadzał. Nie przyszła nawet w święta Bożego Narodzenia. Znamienny jest też fakt, iż to on czyli ojciec dziecka, był na urlopie wychowawczym, a nie matka.

Dzieckiem — z wyjątkiem urlopu macierzyńskiego żony — zajmuje się babcia Paweł zauważył, że dziecko niechętnie idzie do żony, gdy ta jest

w domu i chce się nim zajmować. Dlatego zaproponował Krystynie wzięcie urlopu bezpłatnego. Dziecko często płakało, traciło apetyt i stał wypłynęła propozycja Pawła, aby córka sypiała w pokoju swej babci. Po jakimś czasie dziecko się uspokoiło. Paweł przypuszcza, że żona nie umiała obchodzić się z dzieckiem — widział na nim na przykład ślady nadrapania (może od paznokci?). Może były to przyczyny, z których powodu dziecko bało się żony?

Nic nie wie o tym, żeby żona musiała go prosić, aby wejść do pokoju. Do drzwi wejściowych kluczy nie dorbial, bo stale ktoś był w domu. Nigdy też nie bił żony. Gdy odchodziła od niego, nie proponowała przeprowadzić do teściów. Ale on i tak by się nie zgodził. Zamieszkałby z żoną wspólnie, ale w odrębnym mieszkaniu — do teściów się nie przeprowadził. A w tym krytycznym grudniowym dniu, gdy Krystyna chciała odejść, zamknął drzwi, bo zbliżała się godzina milicyjna. Powiedział wtedy, że jeśli chce odejść nastę-

niego dnia, to drogę ma wolną.

ONO

Z wywiadu przeprowadzonego przez kuratora wynika, że dziecko jest zdrowe, zadbane, rozwija się prawidłowo, jest pogodnie i śmiało w stosunku do obcych. Bez specjalnych wywiadów wiadomo, iż dziecko powinno mieć ojca i matkę

*

Dzisiaj Ligia jest już z matką. Taka była decyzja Sądu Rejonowego. Ojciec dziecka wniósł odwołanie od tego postanowienia do Sądu Wojewódzkiego. Po przeprowadzeniu rozprawy Sąd Wojewódzki w Poznaniu oddalił jednak rewizję. W mocy pozostał wyrok Sądu Rejonowego. Wydawać by się mogło, że ta czwarta z kolei rozprawa zakończyła sprawę. Ale nie. Odbyła się jeszcze jedna. Tym razem do sądu z prośbą o rozstrzygnięcie wystąpił komornik, bowiem Paweł wezwany do oddania dziecka w terminie 7 dni matkę obojętnie swego nie wykonał. Tłumaczył się tym, iż został

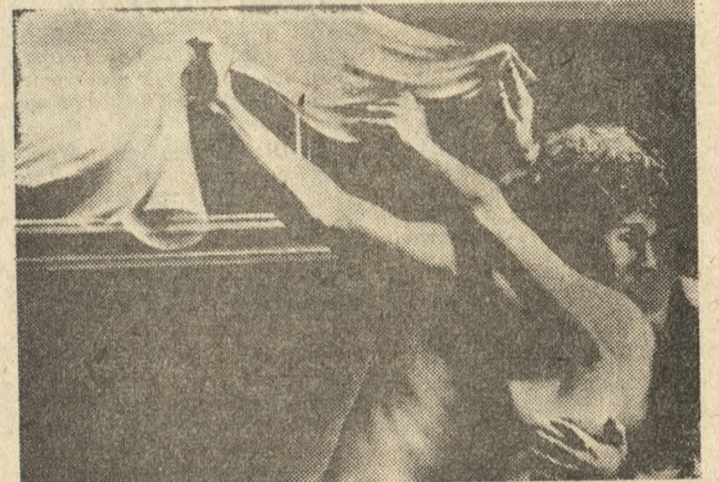
nieprawidłowo wezwany przez komornika do wydania dziecka, gdyż ten wezwał do wydana Lidii zamiast Ligii. Dla zakończenia sporu w tym względzie zobowiązał się jednak wydać córkę matce w określonym dniu — w obecności kuratora zawodowego. W ten sposób dziecko trafiło do matki pod koniec października. Jeśli zważyć, że Krystyna odeszła od męża w połowie grudnia ubiegłego roku i wkrótce potem wystąpiła do sądu o wydanie dziecka — to walka o nie trwała prawie rok.

Krystyna i Paweł nadal są małżeństwem i z ich zapewnienia wynika, że nie mają zamiaru się rozwiść. Krystyna czeka na mieszkanie spółdzielcze od 1975 roku i gdy je otrzyma chciałaby zamieszkać z mężem. Jeśli wzięć pod uwagę, że okres oczekiwania na mieszkanie wynosi w Poznaniu w tej chwili około 13 lat, to w najlepszym wypadku otrzyma je w 1988 roku. Ligia będzie miała wtedy już 8 lat. Czy przez ten cały czas dziecko będzie miało rodziców tylko na niby?

Fot. — Archiwum

ANNA PLENZLER

MŁODA PLASTYKA



Nie zasieje, nie zaorze

Dokończenie ze str. 1.

Przedstawiciel kuratorium, który zaznaczył, że 37 lat parą się tymi problemami, stwierdził też, że młodzież powiedziała dużo — ale gdzieś tak jedną trzecią tego, co powiedzieć by trzeba było. Choć wystąpienie to zawierało wiele faktów trudno uznać je za coś więcej niż pogadankę. Czasami przybierała ona postać „kazania i skargi” na nutę: „ale wściecie, w moich czasach”. Przedstawiciel kuratorium zaprotestował, gdy dziennikarze spyali, gdzie było kuratorium, gdy praktyki uczniów szkół rolniczych zaczynały przypominać kabaret? Z jego słów wynika, że czyniono rozliczne i rozpaczliwe starania: że może przedstawić cały stos dokumentów. Orzekliśmy że makulatura nas nie interesuje.

Przedstawiciel kuratorium heroicznie bronił dobrego imienia firmy. Tylko, że z tego nic nie wynika. Nie gwarantuje, że za rok młodzież nie spotka się znowu, by mówić o tym samym. W jednym z najlepszych — rolniczych — województw. Więc by tego uniknąć, oczekujemy od wspomnianych, a nieobecnych przedstawicieli instytucji, konkretnej odpowiedzi na pytanie: „Co robi się w województwie poznańskim, by za rok nie mówić o tym samym, a jednocześnie nie dziwować się, że młodzież idąca do totalnej abnegacji”. Czasu do należytego zorganizowania praktyk uczniów szkół rolniczych zostało około 10 miesięcy. Tylko 10 miesięcy i aż 10 miesięcy. Bardzo byśmy nie chcieli za rok klepać o tym samym, bo tego już nikt nawet czytać nie zechce.

ANDRZEJ SKRZYPCZAK

Przygrywki

Mieszkańcy masowej wyobraźni

Przedziwna rzecz ma się z sezonowymi — jak mniemam — piosenkarkami, takimi jak Urszula Kasprzak, Krystyna Stolarska, Małgorzata Ostrowska, Wanda Kwietniewska. Mają kilka cech wspólnych: głosy niewielkie, o brzydkiej barwie, kiepską dykcję, niewiele myślą o tym, co śpiewają i nawet wypierają się swojej przeszłości estradowo-piosenkarskiej, związanej z udziałem na festiwalach, o których mówić nie wypada, jako że przeznaczonych dla niemłodzieżowej publiczności.

Wymyślona przez niektórych preterentów radiowych tajemnicza Urszula to nie kto inny jak U. Kasprzak zdobywczyni Złotego Somowaru w 1979. Udzieliła wówczas iluś tam wywiadów o tym, że fascynuje ją tylko muzyka, poezja, sztuka konkretnego kraju. Teraz puszcza wszystko w niepamięć i mówi, że „co było przedtem, to nikogo nie interesuje. Żyłam, studiowałam, kochałam się, śpiewałam. To wszystko”. No właśnie śpiewała, tyle że całkiem inny repertuar; w obowiązującym języku, potem kiedy nadeszła moda na country nie omieszkała w duecie z Ryszardem Kniatem nagrać kilka pozycji w stylu nieco ludowym. Obecnie z BUDKĄ SUFLERĄ pragnie jak najszybciej zrobić karierę, chociaż od razu kokieteryjnie dodaje: „Mam wstręt do gwiazdorstwa”.

Inny przykład to Krystyna Stolarska, która pojawiła się niczym meteor pod pseudonimem Gayga i od razu stwierdza: „To, że jestem dziś taka jaka jestem, bez póż, gestów, min jest sprawą naturalną, powstającą z kulminacji tego co już umiem i wiem na temat muzyki młodzieżowej”. Nie przyznaje się wszakże, kim była wcześniej, co robiła. Wiem i przypominę, iż udzielała się w wokalnych grupach typu „Amazonki”, „Pro Contra”. Odśpiewywała refreny z grupą „Blues and Rock”. Podając takie fakty ma zapewne świadomość, że zaliczona by ją do weteranek i łatwo rozszyfrowano jej staż estradowy stwierdzając, że nie jest już podlotkiem lecz dojrzałą kobietą. A wywiad dla „Non Stopu” przez równie mistyfikującego — jak Gayga — Gadomskiego jest po prostu „wpuszczeniem w maliny” redaktorów i przede wszystkim czytelników tego miesięcznika. Krystyna S. dodała przy tym bułwersując: „Ja jestem szalona Gayga, niczym nie ustępująca Korze”. Nie ma potrzeby skomentowania tych odkrywczych wyznań Krystyny Stolarskiej vel Gayga. Zrobiła to sama w stylu brukowych popułodniówek, wydawanych pod inną szerokością geograficzną i w innym systemie płatniczym.

Bo jaka jest naprawdę, pokazała w programie telewizyjnym. Mimo największej cierpliwości, po dziesięciu minutach zrezygnowałem z dalszego oglądania owego „show”, w którym wszystko było moim zdaniem na NIE: najpospolitsza muzyka, banalne teksty, pełna chaosu instrumentacja, zaśpiew manieryczny itp., itd. Występuje przy tym z wórnym (choćby — nazwy) zespołem. Gdyby wcześniej choć trochę interesowała się rockiem, to musiałaby dostrzec w polskich sklepach muzycznych płyty Petry Janu nagrywanej i występującej z grupą PRO ROCK. Te płyty wydane były w latach 1979—81.

I na koniec krócej już o panach z grupy LOMBARD: Krystyna Ostrowskiej i Wandzie Kwietniewskiej. Przeszłość mają nie gorszą niż poprzedniczki, a więc występy w Katowicach, Zielonej Górze, lekcje w rozgłoszonym Studiu Piosenki przy Estradzie Poznańskiej, występy w „Wiście” — i obecne nieprecyzyjne, jak i poprzednio, śpiewanie w rzekomej konwencji rocka. Takie drogi prowadzą donikąd. Trzeba zdecydować się wreszcie i powiedzieć sobie kiedyś jasno i otwarcie: to robię fatalnie, to źle, a to może na dosłowny minus.

Wszystkim czerem po nazwisku wspomnianym osobom chciałbym przypomnieć pewną maksymę: „Jeżeli się nie wie, kim się jest”.

KRZYSZTOF WODNICZAK

PS. Już po napisaniu tego tekstu dotarła do mnie wiadomość, że zespół L. opuściła Wanda K. Znajac jej „ambicję” rockową przypuszczam, że coś nowego proponuje. Było to było inne (czytaj: lepsze) niż lombardowanie...



Fot. — R. Królak

Ktoś struny głośno tręca

Fenomen na drabinie

Czasz Janków Muzykantów bezpowrotnie przeminęły. Najgenialniejszy nawet talent nim zdobędzie dziś kartę wstępu na najslawniejsze estrady, musi najpierw wdrapać się na kolejne szczeble drabiny z napisem: światowa kariera muzyczna.

Pierwszym z nich jest dostanie się do odpowiednio doświadczonego pedagoga. Zaliczenie drugiego następuje po zwycięstwie (nieco gorzej — po zdobyciu innej czołowej nagrody) na dziecięcym czy młodzieżowym przeglądzie, festiwalu lub turnieju: międzynarodowym, krajowym albo — to niezwykle rzadko — międzynarodowym, co często wiąże się z przejściem do bardziej renomowanego nauczyciela. Trzeci szczebel stanowi uzyskanie głównego, a co najmniej medalowego trofeum na „dorosłym” konkursie międzynarodowym. Czwartą jawi się młodym kandydatom na wirtuozów jako marzenie jeszcze większe niż poprzedni: to — znalezienie się pod opieką — znanymi skrydłami znaczącego impresaria lub „stajni” wybitnego artysty, przeważnie mistrza batuty. Na przykład Herberta von Karajana, czego dostąpił między innymi Krystian Zimerman. Z tego szczebla widoczny i blisko osiągalny staje się szczyt wspomnianej drabiny. Otwierają się drzwi najtrudniejszych do zdobycia, najbardziej eksponowanych strad świata...

Tak w uproszczeniu i w ujęciu modelowym ma się rzecz z wykonawcami (z twórcami przeszedł — podobnie) tzw. muzyki poważnej. W rozrywkowej — rzadko nieco inne prawa i mechanizmy, pozwalające dużo łatwiej i szybciej stanąć na szczycie. Inna sprawa, że im przedziej zostanie się tu gniazda, tym krócej ona zazwyczaj trwa.

Lecz pozostawmy dzisiaj „lejszy” gatunek muzyki na bok. Porozmawiamy w kręgu tej nieruśkiej, poświęcając kilkanaście zdań imprezie — w

moim odczuciu — bardzo ważnej, a chyba nawet wzorcowej dla kształcenia wirtuozów wio linistyk.

— Dla samego tylko Wadima Repina warto było ten turniej zorganizować — powiedano w kuluarach. Gdy ów jedenastolatek z Nowosybirsk'a zagrał po raz pierwszy, profesor Irena Dubiska miała w oczach łzy a popis zaszkokował i pozostałych jurorów: do tego stopnia, że jakby niepomni zasad regulaminu po jego zakończeniu zaczęli bić gorące brawa! Nie wspomnę o wiewatach publiczności. Prof. Dubiska powiadziła potem o tym chłopcu: „To fenomen”. Rzeczywiście, tak błyskotliwie technicznie, a jednocześnie z takim mistrzowskim frazowaniem i w ogóle dojrzałością chciałby wykonywać utwory Wieniawskiego, Szymanowskiego czy Saint-Saensa niejednego dorosłego skrzypka. Niekwestionowany laureat nagrody ministra kultury i sztuki i zwycięzca w grupie do 16 lat był oczywiście odzoda całego II Międzynarodowego Konkursu Młodych Skrzypków, który odbył się w drugiej dekadzie października w Lublinie. Ale młodych (niekiedy nawet bardzo, przykładem — dziewięcioletni Rumun Dan Vorniceanu) talentów wiolinistycznych jawiło się na turniejowej estradzie sporo. Ku zadowoleniu publiczności (na finałowym koncercie było jej tyle, iż zrazu zabrakło siedzących miejsc dla... wiceministra i innych oficjeli), pedagogów i jurorów. A także organizatorów, dla których wysoki poziom i powodzenie imprezy stanowiły główną rekompensatę za wniesiony (przede wszystkim — społecznie) trud przy przygotowywaniu tego jedynego w bieżącym roku w Polsce międzynarodowego konkursu muzycznego. Przystąpiła doń zresztą rekordowa bodaj liczba uczestników — 56 z 14 krajów Europy, Ameryki i Azji. A zestawu jurorów (poza prof. Dubiską, m.in. profesorowie: Y. Neaman, W. Scholz, R. To-

tenberg, X. Turull, Y. Unno) mógłby pozazdrościć niejedyn sławny międzynarodowy turniej skrzypków.

Najważniejsze wszakże, że lubelska impreza, której początki w kształcie krajowych przeglądów sięgają roku 1970, spełniła swój nadrzędny cel, umożliwiając młodym adeptom gry skrzypcowej z różnych państw artystyczną konfrontację umiejętności, a dla pedagogów stając się okazją do wymiany doświadczeń, oceny dorobku i poziomu narodowych szkół wiolinistycznych. Stała się dla uczestników była jeszcze nie kariera, lecz wyłonienie najbardziej uzdolnionych młodzieży, by otoczyła ją szczególnie pieczołowitą opieką pedagogiczną.

Dzięki tegorocznemu turniejowi w „rodzinnym miesie” Henryka Wieniawskiego, ujawniło się kilka wielkich talentów; wśród najmłodszych — poza wspomnianym Repinem — Katrin Scholz z NRD, Rumunów Simionescu i Bogdana Bobecea z Rumunii czy 15-letniego Adama Taubica z Katowic; w gronie nieco starszych (do 19 lat) prym wiodły Polki — Dorota Siuda z Zielonej Góry (druga nagroda, pierwszeństwo przyznano) i Beata Warykiewicz (czwarta nagroda); uzupełniał je Conrad Muck z NRD (zdobywca trzeciej nagrody). Być może pośród tych skrzypków kryją się przyszli laureaci sławnych międzynarodowych konkursów? Wszak turniej w Lublinie jest jakby przedświadczeniem do poznańskiego, imienia H. Wieniawskiego tym jednym szczeblem niżej. Tutaj po pierwsze swe wyróżnienia sięgali późniejsi laureaci „Wieniawskiego” (i nie tylko tego konkursu): Barbara Górzyska, Piotr Milewski, Aureli Błaszczak czy Lothar Strauss z NRD. Kto więc wie czy bohaterem „Wieniawskiego -86” nie będzie... 15-letni Wadim Repin (notabene uczeń Zachara Brona, laureata z Poznania sprzed pięciu lat). Piotr Janowski, zwycięzca z roku 1968, liczył zaledwie o rok więcej.

WOJCIECH NENTWIG

P.S. Jedyna poznańka w finałach 14-letnia Klaudyna Broniewska (z klasy doc. Jadwigi Kałiszewskiej) wyróżniona została specjalną nagrodą Lubelskiego Towarzystwa Muzycznego.

Dzień w którym ukazuje się nasz dodatek jest dniem niezwykłym. Może więc chociaż dzisiaj

SIĘGNIJ PO MYDŁO

wszak nic tak nie cieszy jak czyste ręce.

Pół litra do przerwy

Każdy ma jakąś tam broń przeciw chuligaństwu. Podobnie jest w przypadku chuligaństwa stadionowego. Wydział Dyscypliny i Wyzkolenia Polskiego Związku Piłki Nożnej wymierza klubom kary pieniężne oraz prowadzi klasyfikację „fair play”. Milicjanci aplikują mandaty i kierują wnioskami o ukaranie do kolegiów do spraw wykroczeń. Wszystko to przynosi jednak mierne rezultaty. Na stadionie bydgoskiego Zawiszy próbowano ukamienować sędziów prowadzących tam mecz: kibice Lechii Gdańsk w Tezewiu wywołali burdę; tydzień później w Gdańsku ktoś wybiegł na boisko i usiłował znokautować sędziego głównego, lecz ten okazał się odporny na ciosy napastnika. Naruszenie nietykalności cielesnej podlega w polskim prawodawstwie orzecznictwu sądowemu, ale szukaj wiatru w polu. W Gdańsku otoczony chmurą kumpi „bohater” opuścił stadion. To tylko nieliczne z ekseesów na krajowych boiskach piłkarskich. Bójki między kibicami są tak powszednie, iż stały się już nieodłącznym elementem stadionowego klimatu. Sędziowie schodzą z boisk niejednokrotnie w deszczu płowoci (celują w tym kibice poznańscy). Awantury i bijatyki nie rzadko przenoszą się na okoliczne ulice i dworce. Młodociani chuligani biegają jak z pierpem, rozdając szczydrze razy komu popadnie.

Dzień meczu bywa dniem grozy w mieście. A zwykle temu winna jest wódka. Wśród okładających się nawzajem pięściami, wraskliwych poliglottów swobodnie postępujących się rymstokową laciną nie ma trzech-wych — sami, jeśli nie pijani to najmniej po kilku piwach. Nie spotkałem jeszcze na stadionie trzeźwego awanturnika.

Na stadionach wojnę alkoholowi wydano już dawno, lecz do tej pory obrońcy spokoju są przegrani. A to dlatego, że zatrzymali się w pół drogi. Zalany w sztok szkody nie narobił, bo mu siły odebrało. Tacy na stadion nie wejdą. To i dobrze. Gorzej, że wchodzić imi niepożądani osobnicy — na rauszu, wojowniczy, pełni werwy i jednocześnie ordynarni, chamscy oraz skorzy do rozrób. Tacy są zmorem stadionów. Tych się pozbyć, a może na stadionach zapanuje wtedy ład i porządek? Tylko jak się ich pozbyć?

Dorabiając sobie od emerytur dziadkowie od przedzierania biletów to nie przeciwnicy dla rozzuchwalonych wyrostków. Takim przeciwnikiem może być tylko przedstawiciel władzy — milicjant. Może jego oko wyluska z tłumu takich potencjalnych łobuzów? A jak nie oko, to może balonik? Sam nie wiem. Wiem jednak że naprawdę skuteczną może być tylko „muzyka młodej generacji” na organach porządkowych. Ale to melodia przyszłości.

Muszą skończyć się bijatyki na sportowych stadionach. Może by tak podawać w prasie nazwiska ujętych chuliganów (oczywiście na ich koszt) i karać ich znacznie droższymi mandatami? W przypadkach nieściągalności sądowych kar pieniężnych zawsze mogą przecież odpracować grzywnę na obiektach sportowych. Tam roboty zawsze huk. Trzeba skończyć z tą zarazą boisk piłkarskich i nie tylko piłkarskich.

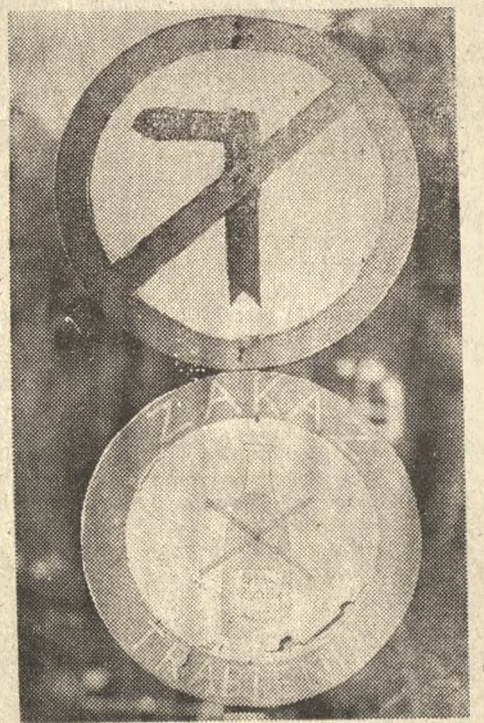
Modne stało się ostatnio darmowe wpuszczenie młodzieży szkół podstawowych na imprezy sportowe. Godne to poklasku i uzna-

nia, lecz czego przybyli ucza się od swych niewiele starszych kolegów? Osdyrnanych przyspiewek i jak obrócić komus ząbki. Najlepiej w dziesięciu przeciw jednemu.

Po pewnej ilości alkoholu obojętne staje się pseudokibicom kto, z kim i o co gra. Najważniejsze, by komus „zdemolować facjatę” a jeśli nie to chociaż obrzucić kogoś stekiem najohydniejszych wyzwisk. Gra Lech z Wisłą, a oni drą się: „Na widok warszawiaka za cęgię schwyć” Gra Lech z Cracovią, a oni wrzeszczą: „Pogoń śledzie”. Im ordynarniejsze wyzwisko tym większa uciecha. Lecz dla kogo? Dla tych kilkudziesięciu rozburmianionych młodzieńców, a pozostałych tysięcy kibiców ogarniają mdości. Ojcowie zatykają swym pociechom uszy.

Grupa ubrana w szaliki o klubowych barwach, okryta flagami, z chorągiewkami w tych samych kolorach urozmaica monotonna szarość stadionowych trybun. Lecz kto może zaręczyć, że z tych szmatek i proporców nie wylicy za chwilę opróżniona butelka i nie wyładuje na mojej głowie? Czy nie stać tych moich rówieśników przeciw, na kulturalne zachowanie, na piosenki o tekstach wynoszących pod niebiosa ich ulubieńców, deprymujących zarazem przeciwników? Brakuje im rymów? Może prócz kilku wulgarnych słów — nie stać tych chłopców na skłonicie jednego zdania po polsku? Toż i przeciw ograniczeniu umysłowe. Psychiatri takich ludzi określa jednoznacznie rozróżniając tylko stopnie zaawansowania choroby. Jeśli ktoś w tym miejscu się obraził, to niech udowodni na stadionie, że napisałem bezdurny. Przyrzekam, że publicznie wtedy będę się kajał za omyłkę. Może jeszcze usłyszę na poznańskim stadionie hymn kibiców jedenastki kolejarskiej: „W górę serca i niżej zwycięża Lech...”? Oby.

LESZEŃ GRACZ



I cóż tu jeszcze dobrać?



Fot (2) — R. Królik

Może zaczęło się tak: zarosnięty tropolodyta rąbnął potężną pięścią w równie kudłaty leń neandertalczyka, który podesbrał mu „pierwszą krzyżówką” z mamulą...

Równie dobrze mogło jednak rozpocząć się tak jak za fejestrowali to autorzy Biblii. Kiedy Bóg wybrał Abła, Kain urażony w swych ambicjach i obrażony, nie mogąc się z nim porachować, ukatrupił Abła. Aby w przyszłości Wszchemocny lepiej zastanowił się nim kogoś wybierze.

Tak czy inaczej faktem bezspornym jest, że wojna i zabijanie tznazywane niekiedy eufemistycznie niszczeniem siły żywej) towarzysza ludzkości od jej zarania. Hordy dzikusów — mających trudności z wynalezieniem i spożytkowaniem koła — w dziedzinie wypryśnych tortur i mordowania dochodziły do zaskakującej perfekcji. Poszczególne plemiona i rody tłukły się między sobą w epoce kamienia łupanego, brązu i żelaza. Czynniki to także współcześnie w epoce rakiet i komputera.

Droga rozwoju gatunku Homo Sapiens to właściwie nieprzerwany ciąg wojen i bitew. Przegrani wędrowali na Sad

Wczoraj — dzisiaj — jutro

W pióropuszu — z atomową maczugą

Ostateczny, a zwycięzcy zajmowali poczesne miejsce na kartach historii. Zmagania prowadzone za pomocą dżd i zatrutych strzał lub mieczy, tarcz i pistoletów skałkowych w sumie zebrały żniwo niewiele mniejsze niż dzisiaj salwy karabinów maszynowych, armat i moździerzy na bliższych nam geograficznie i kulturowo teatrach wojny.

Jak obliczyli naukowcy, w ciągu 5500 lat swej historii ludzkość przeżyła ponad 14000 wojen. Zginęło w nich około 4 miliardów osób. A więc prawie tyle, ile obecnie żyje na naszym globie.

Każdą wojnę, nawet te największe, światowe, rozgrywane na kilku kontynentach i z zaangażowaniem milionów żołnierzy można w końcu rozpatrywać jako wiele drobnych potyczek i utarczek sam na sam, plutonów i kompanii, w których uczestniczyło po obu

stronach nie więcej ludzi niż w bójce między sąsiednimi wsiami na Samoa. Szczębel armii, frontów, natarć i odwrotów jest zupełnie obcy tym którzy z karabinami i w czołgach występują naprzeciw siebie, jak niegdyś przodkowie w pióropuszu i z maczugami.

Jakże mało przez tysiące lat zmieniło się w postawie człowieka, choć przecież maczuga jaką obecnie dysponuje jest nieporównanie groźniejsza. Dzisiaj, by uciec przed 4 miliardami ludzi, nie trzeba już zaliczyć tysięcy lat — wystarczy parę sekund. Wymiar tragedii mogącej nastąpić w każdej chwili (ktoś nie wytrzyma i nacisnie guzik...) jest tak ogromny, że trudno weń wwieżyć. Brakuje miary by sobie to wyobrazić, a co dopiero pojąć. W takiej makroskali łatwiej popaść w pesymizm i poczucie bezsilności wobec nagromadzonych potencjałów jądrowych.

Ludzkość nie jest jednak zdana tylko na łaskę i nielaskę dysponentów nuklearnych pocisków o niewyobrażalnej wielkiej sile niszczenia. Zawsze coraz donośniej rozlega się jej głos wzywający do opamiętania. Jednak choć przybiera on na sile, to jest to tylko głos. Równie pokojowe (a może jeszcze bardziej?) były nastroje społeczne przed wybuchem pierwszej wojny światowej, także przed drugą, wielu nie chciało umierać. I co?

Finał dobrze znamy. Bolesna lekcja historii. Znowu eufemizm — to była kolejna powtórka ani pierwsza, ani ostatnia. Ona ciągle jeszcze trwa. Od zakończenia II wojny światowej na świecie nie ma ani chwili pokoju. W ostatnich 38 latach rozegrano się 130 wojen, uczestniczyło w nich 100 państw. Na naszych oczach, bo oglądaliśmy to w telewizji, czytaliśmy w gazo-

tach — poniosło śmierć około 35 milionów ludzi.

Były to konflikty regionalne, gdyż między supermocarstwami udało się ich uniknąć, ale krwawe i okrutne. Wystarczy wspomnieć dramat Libanu, dżungle Wietnamu i Bangladeszu, Nigerii, Kongo, Korei. Jak szybko jednak zapominały, jak mało mówią nam dzisiaj już te nazwy.

Walczą między sobą państwa, jest front, regularne oddziały wychodzą do natarcia — wszystko zgodnie z regulami wojowania; a równocześnie wiele krajów targanych jest konfliktami wewnętrznymi. Są to często walki niemiernie krwawe i zacięte. Bezmiernie giną setki żołnierzy, policjantów, cywilów. Rozlegają się strzały z brzoła, wzbuchają bomby, stadiony sportowe zamieniają się w obozy, a wieżenie w kaźnie.

Dlaczego? Nawet nauka dokonująca nowych odkryć i wy-

jaśniająca wciąż więcej i więcej tajemnic świata i wnętrza człowieka, wobec tego pytania jest bezradna. Teoria wojen i zabijania niewiele posunęła się do przodu od czasu clausewitzowskiej formuły, iż „jest ona przedłużeniem polityki, realizowanej tylko trochę innymi metodami”. Nie wszystko wyjaśnia także marksowski podział na wojny sprawiedliwe i niesprawiedliwe. Oceny moralne — a taką jest uznanie czegoś za sprawiedliwe lub nie — w sytuacji gdy ofiary idą w tysiące, tracą znaczenie. Ludzkie sumienie nie ogarnia milionów ofiar, stworzone jest na miarę jednostki, a nie monstrualnych liczb.

A jednak mimo wszystko człowiek istnieje, doskonalą się, zdobywa Kosmos, tworzy wielkie dzieła, rozwija sztukę. Nikt więc w głębi duszy nie wierzy że gotów jest sam zniszczyć cywilizację. Nie, na to jest zbyt mądry. Ale zrygnąć może całkowicie z wojen i strasznie się jeszcze nie potrafi. Chociaż, chyba jest na dobrej drodze, bo innej prosto nie ma. W każdym razie nikt rozumny na inna się nie godzi.

WALERIAN IGNASIAK